

W krainie antyprawicowej hysterii.

Podczas wakacji kilkanaście godzin spędziłem we Frankfurcie – wiadomo, jest tam jedno z największych lotnisk w Europie. Mogłem pochodzić po mieście i zatrzymać się w przypadkowej kawiarni, gdzie na stole leżał stos gazet – "Frankfurter Allgemeine Zeitung", "Frankfurter Rundschau", "taz".

Rzuciłem okiem na tytuły, a potem z coraz większym zdumieniem zacząłem je wertować. We wszystkich dominowały teksty o zajściach w Charlottesville w stanie Wirginia. Doszło tam do starć prawicowych grup, broniących przed usunięciem z miejskiego parku posągu Roberta E. Lee, dowódcy sił Konfederacji, i ich lewicowych przeciwników. Do najbardziej dramatycznego zdarzenia doszło wtedy, gdy w tłum przeciwników prawicowego marszu wjechał samochód, kierowany przez 20-letniego Jamesa Fieldsa z Ohio, który zabił na miejscu 32-letnią kobietę. Oczywiście o sprawie informowały też światowe media, także polskie, jednak to, co potrafili z niej zrobić niemieccy dziennikarze, po prostu w głowie się nie mieściło. Sążniste artykuły, wielostronicowe analizy, ociekające oburzeniem i gniewem komentarze, których autorzy – tak z lewa, jak z prawa (zastanawiam się, czy te słowa w warunkach niemieckiej urawniłowki cokolwiek znaczą) – prześcigali się w potępieniu rasizmu oraz niedostatecznej, ich zdaniem, reakcji amerykańskiego prezydenta. Po zajściach Donald Trump stwierdził, że „wszyscy musimy być zjednoczeni i potępić całą tę nienawiść”, co zdaniem niemieckich komentatorów było wyrazem tolerancji dla rasizmu, a może wręcz jego akceptacji.

Doprawdy, po przejrzaniu niemieckich gazet, tak niby różnych i tak bardzo niezależnych, które wszystkie pisały dokładnie to samo i na to samo kopyto, miałem wrażenie, jakbym znalazł się znowu gdzieś w głębokim PRL, gdzie prasa wypełniała jedynie słuszne wytyczne, a cała różnica sprowadzała się do wyrażenia stopnia entuzjazmu lub wrogości, z jakimi poszczególni redaktorzy realizowali linię ideologiczną partii. Tak było także w niemieckich mediach, „FAZ” była bardziej stonowana, „Frankfurter Rundschau” rozhisteryzowany, ale wszystkie pisma zawierały to samo przesłanie: Trump co najmniej lekceważy rasizm, Ameryka pod jego przywództwem zmierza ku wojnie domowej, radykalna prawica i populizm nacierają zewsząd, lada moment zdobędą świat, który coraz bardziej oplatany jest przez hydrę nacjonalistycznego szaleństwa z prezydentem USA na czele. Brr!

W pierwszym odruchu nawet zrobiło mi się Niemców żal. Do licha, to się nazywa żyć w stanie fałszywej świadomości! Biedacy są ofiarami rewolucji 1968 r., która doprowadziła do totalnego zwycięstwa lewicy w mediach i instytucjach kultury. Wszystkie największe ośrodki medialne reagują zatem jak pies Pawłowa, dostrzegając największe zagrożenie zawsze w prawicowym radykalizmie, fundamentalizmie, rasizmie itp., itd. Nic dziwnego zatem, że Niemcy, karmieni dzień po dniu i godzina po godzinie taką wszechobejmującą antyprawicową propagandą, żyjący w stanie antytrumpowej hysterii podsycanej przez licznych ekspertów, również na Polskę i Polaków patrzą w jedyny dopuszczalny sposób, czyli jak na zamaskowanych rasistów i ksenofobów.

Trudno jednak o współczucie, skoro większość tych redaktorów i komentatorów sądzi, że zjedli wszystkie rozumy, i miast dostrzegać swoje ograniczenia oraz walczyć z własnymi obsesjami, woli z wyższością pouczać innych.

Do Rzeczy Paweł Lisicki